TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50

DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 39. *Chicago, Ills., 24 Marca, 1887 r.* Rok III.

BOŻA OPIEKA

POWIEŚĆ

OSNUTA NA PODANIACH XVIII WIEKU

— PRZEZ —

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Tak zwane romansowe przygody są wprawdzie rzadkie w życiu powszedniem, lecz każdy myślą sięgając w przeszłość własną przyzna, iż ich sam kilka przeżył przynajmniej lub kilku był zdumionym świadkiem. Nie ciągną one za sobą tych skutków, jakie się z nich wywiązywać zwykły w romansach, lecz mają często następstwa niespodziewane i dziwne. W owych czasach wielkiej dworu świetności, po wyborze Poniatowskiego jedna z rodzin z królem skolligaconych, rachując zapewne na protekcyą N. pana, ze wsi wybrała się na mieszkanie do stolicy. Składała się ona z wdowy, osoby w wieku ale żywej jeszcze i w pełni sił i zdrowia będącej, wiozącej trzy dorastające córki, dziedziczki znacznego ale obdłużonego majątku.... Pani Pisarzowa litewska, ten tytuł bowiem został jej po mężu, była osobą poważną, energiczną i umiejącą sobie we wszystkich życia przygodach dać radę. Po śmierci męża gospodarowała sama na wsi, układała się z wierzycielami, płaciła długi, a zarazem poczynała wychowanie swych córek, których piękność, imię, a wreszcie i majątek dawały im prawo do zajęcia najwyższych szczebli w towarzystwie. Pokrewieństwo króla starczyło za drugi posag, nie gardzili nim i ci nawet, co z Poniatowskimi i familią wojowali. Panny były bardzo piękne, dowcipne, żywe jak matka, i już wychowanie ich przez dwie Francuzki i jednego Szwajcara znacznie było posunięte, gdy do Warszawy z panią Pisarzową przybyły. Przez króla spokrewnione z Czartoryskimi, Zamojskimi, Branickimi, Tyszkiewiczami, miały wstęp do najpierwszych domów w

stolicy. Pisarzowa, Litwinka krwią i rozumem, dom urządzić potrafiła tak, że położeniu rodziny odpowiadał, wymaganiom towarzyszkim, a zarazem nie rujnował pani. Wszystko, czego on potrzebował, a czego wieś dostarczyć tylko może, przywoził ekonom na furmankach z dóbr Pisarzowej; słano drób i zwierzynę, masło, krupy i mąkę... i wędlinki, a gdy trzeba było wystąpić, nie zabrakło też i zamorskich przysmaków, bo Pisarzowa choć oszczędna nie dała się upokorzyć. Nazywano ją powszechnie skąpą, była tylko rządną.

Dwie starsze córki, Ludwika i Anna, już na świat się pokazywały i były w pełnym rozkwicie, zwano je litewskimi aniołami; trzecia najmłodsza, Ewa, drobineczkę ułomna, bo miała jedną łopatkę wyższą niż drugą, twarzy może śliczniejszej jeszcze niż siostry; tej nie pokazywano jeszcze, tylko w poufałem towarzystwie, potrosze w nadziei, że się ta łopatka sprostować potrafi jakiemiś mądremi gorsetami, w części dla tego że istotnie bardzo młodziutką jeszcze była.

Biedna ta Ewa, do której matka najmocniej się przywiązała, poddawała się z anielską cierpliwością próbom medycznym i chirurgicznym, nie dla siebie ale dla zaspokojenia matki.... która się o los jej trwożyła. Mimo tej ułomności Ewunia była tak piękną anielsko, taki miała wyraz słodyczy na twarzy, na ustach taki uśmiech dobroci niewyczerpanej, że kto na nią spojrzał, o krzywem ramieniu zapominał. Ale dla matki, ta ułomność była nieustannem strapieniem, mnogiemi oblanem łzami; napróżno Ewunia zapewniała ją, że za mąż nie pójdzie, że wcale się nie będzie czuć przez to nieszczęśliwą, że jej tak dobrze na świecie, iż nic dla siebie więcej nie pragnie: matka płakała pocichu. Ludwika i Anna zaledwie się ukazały w Warszawie i na balu w zamku, obudziły mnóstwo najgorętszych uczuć i najzajadlejszej zazdrości.

Pałacyk pani Pisarzowej znajdował się na Nowym Świecie niedaleko ś. Krzyzkiego kościoła tak, że na nabożeństwo nie potrzebowały panie jechać powozem, boby to nawet śmiesznie było, gdyby się wieźć kazały o trzy kroki, chodziły zwykle skromnie ubrane i zakwefione pieszo. Trafiło się jednego dnia rano, iż po balu u księcia Radziwiłła, niedźwiedź z jego stajni, którego cygan dozorujący na honorze znać pokrzywdził, wyrwał się rozjuszony ze stajni i z podwórza... Cała czereda psów, koni, ludzi natychmiast pogoniła za nim w ulicę, ażeby go złapać lub ubić, gdyż rozwścieklone zwierzę zaraz na wstępie kuchtę, który stał w bramie pałacu, na śmierć zażarło i żebraka śmiertelnie okaleczyło.

Szczególnym trafem Pisarzowa z córkami szła właśnie o tej godzinie na ranną mszę do świętego Krzyża, gdy niedźwiedź wlokąc za sobą łańcuch, obroczony już cały, rycząc i drąc, co spotkał po drodze, wpadł prawie na idące, kobiety.... Pisarzowa sama, starsze dwie panny, sługa, skryły się jakoś pospiesznie do kościoła wbiegłszy, gdy Ewunia bardziej nad nie przelękła, pośliznęła się, padła na samej drodze i byłaby niechybnie stała się pastwą rozjuszonego zwierza, gdyby jadący konno z zamku Leliwa nie przypadł tak, że ją od niedźwiedzia sobą i koniem zasłonił. Zwierz rzucił się na niego i na konia, skaleczył mu nogę, ale chłopak odważny, wołaniem i zachętą ośmieliwszy pannę i dając jej czas się ukryć, z olstry dobył pistoletu i bestyę trafnym strzałem trupem położył. To mężne zastawienie się Janka, na które mnóstwo osób patrzało, a któremu Ewunia życie była winna, zjednało mu najczulszą wdzięczność pani Pisarzowej. Król także nie mógł się przytomności jego odchwalić; tegoż dnia posłał do niego Lafonteine, sam go odwiedził dopytując o ranę, która acz bolesna nie była groźną, niedźwiedź bowiem tylko mu nogę poszarpał.... Nazajutrz zaś pojechała pani Pisarzowa z podziękowaniem. Było to naówczas w powszechnym zwyczaju, że wszyscy niemal brali podarki i pieniądze. Przyjmowali je szambelanowie królewscy, brał jawnie za usługi wojewoda Stępkowski, ofiarowano urzędnikom tabakiery pełne złota, a paziom, gdy dobre przywozili wiadomości, po kilkadziesiąt dukatów, pierścionki i zegarki. Pisarzowa dowiedziawszy się, że Leliwa był ubogi, w bardzo piękny zielony jedwabny woreczek włożyła sto dukatów i z niemi udała się na zamek. Jakież było jej zdziwienie i wstyd, gdy chłopak ofiarowaną nagrodę stanowczo odrzucił i prosił, aby go nią nie upokarzała. Miano to za niepotrzebną dumę i śmieszność, boć wielcy panowie przyjmowali pensye od dworów zagranicznych, na jurgielcie ambasady były pierwsze imiona rzeczypospolitej, a tu ubogie chłopię za ofiarę życia dla osób nie-

znanych nawet, takiego podarku przyjąć odmówiło...

Skutkiem jednak znalezienia się tego było, że Pisarzowa polubiła zbawcę Ewuni i prosiła go, aby jej dom za krewny i przyjazny sobie, za familijny uważał... Gdy Leliwa raz tylko na chwilę po wyzdrowieniu przyszedłszy, później długo nie ośmielił się pokazać w domu Pisarzowej, sama posyłała po niego, zapraszała na obiady, gdy nikogo nie było, i obchodziła się z nim jak z krewnym. Ewunia na pamiątkę, wyszyła mu za pozwoleniem matki woreczek, na którym była data wypadku i jeden wyraz: wdzięczność.

Siostry śmiały się z młodziuchnej Ewuni, że się gotowa w swoim zbawcy zakochać, tak nawet wedle wszelkich reguł romansowych być powinno; Pisarzowa jednak nie przypuszczała, aby jej córka mogła się dopuścić takiego dziwactwa.... ani by ów ubogi paź, nie mający ni domu ni łomu, śmiał oczy podnieść na krewną N. pana. Z zupełną ufnością w zdrowy rozsądek obojga, matka ile razy przyszedł pan Jan Leliwa, co się zbyt często trafiało, posyłała po Ewunię i dozwalała im bez przeszkody mówić z sobą. Były to jeszcze dzieci! a bawili się tak po dziecinnemu, a tak razem poważnie, iż siostry starsze dosyć się z nich naśmiać nie mogły.... i nikt podobno, nawet troskliwa matka nie dostrzegła, iż między ocaloną, o wybawicielem zawiązał się stosunek nader czuły.. jednak z tych cichych miłości wyjątkowych, które dla tego, że wierzą w swą trwałość, spokojne są i szczęśliwe...

Kobiety, a szczególniej nasze, są aniołami ziemi, godzim się na to wszyscy i oddajemy im cześć na kolanach; niestety szatan urodził się z prześlicznego anioła, który w chwili upadku przedziergnął się w ideał brzydoty i zepsucia.. Tak samo w tym wieku XVIII, na tym dworze słynnym tylu pięknościami, między któremi było i cnót wiele, trafiały się upadłe anioły, obudzające wstręt i obrzydliwość. Od nich to przeszło zepsucie na tych, co ich otaczali, co obcowali z niemi, i coraz szerszem kołem poszła zaraza na pokolenia następne.... Szczęściem były to istoty wyjątkowe; a w drewnianych dworkach wiejskich, pod słomianemi strzechy dochowała się spuścizna cnót staropolskich. Podskarbic, który dawno w stolicy nie bywał, miał tu same znajomości z lat młodszych, mężczyzn i kobiety w rodzaju kasztelana, których wiek, zamiast przytępić wybryki, uczynił cynicznymi na zimno rozpustnikami, nie mogącemi nawet namiętnością się uniewinnić.

Po bytności w zamku i widzeniu się z kasztelanem, z którym niemal cały dzień spędził, bo mu ten honory Warszawy czuł się w obowiązku robić; Podskarbic wrócił znużony, nazajutrz uczuł się słabym, a trzeciego dnia wyjść nie mógł.

Gryzł się, niepokoił, a że go jakoś zimno wszędzie przyjmowano, wyobrażał sobie, iż wpływ przyjaciół żony niepowrotnie go zgubił w opinii i u dworu. Szukał więc pociechy, jakiej się tylko mógł spodziewać od tych, co go znali młodym, szczęśliwym i ulubieńcem mody. Między innemi dowiedział się o pobycie słynnej niegdyś piękności, której żywot nader burzliwy skończył się trzecim już rozwodem i wypoczynkiem w Warszawie. Młodość spędziła ona w większej części za granicą, w Paryżu, po dworach niemieckich, straciła znaczną fortunę na zbytki bajeczne, a teraz żyła z pensyi, od ostatniego małżonka otrzymanej, i resztek majątku. Nie przeszkadzało jej to mieć dom otwarty, przyjmować najpierwsze towarzystwo stolicy i odgrywać rolę bardzo czynną w rozmaitych sferach. Z domu księżniczka.... pani hrabina Dramińska, dzieci, jakie miała z dwóch pierwszych małżeństw, powyposażyła, a pozostała sama teraz panią swej woli i czasu.... używając go wedle starych nawyknień, jak mogła najweselej. Chociaż dworu nie miała, pozostał jej z niego zawsze jakiś marszałek dworu, mieniany dosyć często, mężczyzna zwykle urodziwy, dobrze wychowany i przyzwoity, który domem zawiadywał i w salonie gości przyjmować pomagał. Grywano co wieczora faraona, świetne były kolacye, czasem muzyka i tańce nawet, a wszyscy cudzoziemcy prezentowali się tu, i przez nią rozmaite dyplomatyczne, pieniężne, sądowe załatwiali interesa.

Hrabina Estella z książąt.... miała piękną karetę, konie rosłe, liberyą, kilku lokajów, damę do towarzystwa niekiedy jaką ubogą kuzynkę bardzo piękną... i — owego nieśmiertelnego pleczystego marszałka dworu. Nie powiemy,

ażeby ją powszechny szacunek otaczał, posługiwano się nią wszakże i jej domem powszechnie. W młodości jeszcze, za życia pierwszego męża, Podskarbic należał do najzapaleńszych jej adoratorów; później stracił ją z oczów aż oto teraz wypadkiem dowiedział się od kasztelana o jej położeniu, o przygodach i zamieszkaniu w Warszawie. Była to jedna osoba, z którą mógł poufnie pomówić Podskarbic, nie lękając się skompromitować. Hrabinie Estelli wszystko w ogólności mówić było można; była ta osoba (wedle wyrażenia opoki) wyższa, bezprzesądów, która wszystko zrozumieć potrafiła.. nie gorsząc się niczem, nie oburzając zbytnie przeciw niczemu. Podskarbic uradował się niezmiernie, dowiedziawszy się o niej, obawiał się jednak pierwszego wrażenia, gdyby tak przybył nie oznajmując i — napisał bilecik, prosząc o pozwolenie przypomnienia się. Tegoż dnia odebrał odpowiedź, na ładnym papierku skreśloną charakterem, który od lat owych nic się nie zmienił i nic nie postarzał. Estella zapraszała go serdecznie na obiad, a huit clos, en petit comitè, jeszcze dzisiaj.

Podskarbic ubrał się jak mógł najstaranniej, quantum mutatus abillo!! — przejrzał się w zwierciadle i zasmucił, piękna Estella trudno by nawet poznać go mogła... O godzinie naznaczonej stawił się na Długą ulicę.. do wskazanego mu domu.... Pałacyk z imienia nie był paradny, lecz dosyć zręcznie wyporządzony, aby przyzwoicie wyglądał... W saloniku, zastawionym mnóstwem gracików kosztownych i błyszczących zabytkami dawnych splendorów i pamiętnikami dni szczęśliwszych, ujrzał zdumiony kobiecinę, ubraną młodo, zdala wyglądającą zręcznie.... ale w cóż się obróciła owa dziewica, anielska, rumiana i biała twarzyczka Estelli! Róż i bielidło zjadły ją, wykręciły i zmieniły w potworną prawie maseczkę.. Zresztą głos, ruchy — pozostały też same, z dodatkiem przesady i karykatury... Podbiegła do niego podając obie rączki jeszcze ładne, wdzięcząc się i potrząsając głową....

— A! Podskarbicu! zaklinam, proszę, nie patrz na mnie.... okropną jestem... ale jakże chcesz! policz lata przeżyte! A ty! nieboraku! a! i ciebie nielitościwy czas nie oszczędził.. chociaż.... doprawdy, na takie życie, jakie prowadziłeś, powiem ci szczerze, nie jesteś tak.. zniszczony, jak sądziłam. Vous avez trés bonne mine.

-- Allons donc! chere Comtesse, nie mówcie mi tego... jestem ruiną, wiem to i czuję.

Oboje przypatrywali się sobie i strasznym śladom lat ubiegłych. W tem spotkaniu było coś elegicznie smutnego i śmiesznego razem.. Znajomość i miłość stanęły jak zegar na rozstania godzinie... a teraz.... biła inna... na świecie.... i z wiosennego poranka zrobiła się noc zimowa.

Podróżny, który wrócił z wygnania i zastał domostwo w gruzach, szuka pod niemi zatraconych skarbów; tak oni w twarzach swoich odszukiwali oczyma rysów, które im zostały w pamięci.

— Mój Podskarbicu — ozwała się po chwili Estella — trzeba się godzić z wolą przeznaczenia, starość ma swe dobre strony.. straty przychodzą z pewnemi kompensatami, znamy lepiej świat i ludzi, i uśmiechnęła się.

— Słyszałam, żeś się ożenił....

Podskarbic głową pokiwał smutnie.

— I bardzo bogato? — dodała żywo Estella — co nigdy nie szkodzi....

Na tem się teraz przerwała rozmowa, przytomny bowiem marszałek dworu i dama do towarzystwa nie dozwolili zwierzyć się szczerzej Podskarbicowi z utrapień swoich; zaczęto mówić o czem innem.... On utrzymywał, że czasy były liche i smutne, ona starała się je obronić.

— Wierz mi — rzekła — teraz jest lepiej; z tym ostatnim Sasem nie wiedzieć co było począć, do psów tylko strzelał, na kobiety ani patrzył i wolał to swoje Drezno od Warszawy, która się była strasznie zabrukała. Król jest miły i dobry, na nieszczęście ma nieprzyjaciół....

Dano do stołu, a jedzenie u podżyłej pani było bardzo wykwintne, co Podskarbic cenić umiał... siedli we czworo tylko, więc ceremonii nie było. Marszałek dolewał wina sąsiadowi, Estella zachęcała do jedzenia i picia, rozweselony żołądek oddziałał na umysł. Podskarbic się rozruszał i podochocił, hrabina mu się nawet zaczynała wydawać młodszą. Szczerzej coraz oboje opowiadali sobie przygody przeszłości, a gdy czarną kawę podano i zostano sam na sam w gabinecie hrabiny, Podskarbic stał się

poufałym i serdecznym, jak za dobrych czasów... Całował białe rączki, z któremi lubiła się chlubić Estella, i spowiadał się ze wszystkich grzechów i utrapień. Ujęło ją to nadzwyczajnie, tak, że uprzejmością starała mu się to wspomnienie dawnej miłości odpłacić.

— Wiesz co Edwardku — rzekła w końcu — ja widzę, że ci coś cięży na sercu i duszy; nie masz pewnie lepszej przyjaciółki nademnie, możesz mi się zwierzyć, powiadam ci, z wszystkiego. Jeśli to jest co takiego, na co ja poradzić mogę? Mam bardzo rozległe i wielkiego znaczenia stosunki.

— Niestety — ozwał się Podskarbic — to, co mi cięży na sercu, jest natury tak delikatnej, że chybabym księdzu na spowiedzi mógł to wyznać.... gdybym się jeszcze spowiadał.

— Jakto! to ty się nie spowiadasz? — zakrzyknęła Estella ręce łamiąc.

— Odkładam... in articulo mortis.. trzeba będzie wyznać wszystko — szepnął stary z westchnieniem.

— Cóżeś ty zabił kogo?...

— A! nie!

— Stary rozpustniku, cięższą ci grzeszki młodości! — rzekła grożąc na nosku....

Podskarbic ruszył ramionami.

— I! na to o rozgrzeszenie nie trudno — odparł z uśmiechem....

— Ale mówże, mów, ja cię nie zdradzę, mój Edwardzie, żal mi cię szczerze..

— Droga Estello — zawołał nieco napity Podskarbic — tobie jednej powiedzieć to mogę...

— Ale mów już, mów — przysiadając się tuż i biorąc go za rękę, naglila hrabina. — Cóż to jest?

— Wiecie już o mojem ożenieniu — począł zniżywszy głos Podskarbic — to był powód pierwszy wszystkich nieszczęść moich... Wojewodzina miała syna... cała jej miłość zlała się na to dziecię; spodziewałem się, że i mnie Pan Bóg obdarzy potomstwem... byłem zazdrosny... zbyt może przewidujący... Wystaw sobie, popełniłem ten błąd, żem się postarał.. aby to dziecię....

Nim dopowiedział, Estella krzyknęła i usta mu zatuliła ręką... drugą zasłaniając sobie oczy...

— To okropność.. dziecko.. umarło....

— Nie, nie — przerwał Podskarbic — w istocie gdyby sobie było umarło, miałbym zapewnie zgryzoty sumienia, alebym nie miał niepokoju i kłopotu.

— Więc cóż się z tem dzieckiem stało?

— Usunąłem je.... usunąłem — rzekł Podskarbic. — Wojewodzina ma je za umarłe... ale ono żyje.... Oddano je na wieś. Chłopiec się dziwnym sposobem wyrobił. Przytem człek, który mi do tego interesu służył, ruszony głupiem sumieniem, zdradził mnie... chłopca uwieziono, i wystaw sobie... znajduję go... paziem królewskim....

— Ale czy ci się nie śni? nie żartujesz ze mnie? co mi za banialuki pleciesz? Jakżeby do tego doszedł?

— To i dla mnie zagadka — mówił cicho Podskarbic — zagadka.... Chłopca w osobliwszy sposób napiętnowała natura, bo podobny niesłychanie do ojca i ma jego znamię na twarzy.... Trzeba było nieszczęścia, że go raz, gdy jeszcze był na wsi, żona moja spotkała, i zrobiło to na niej wrażenie niesłychane.. chociaż nie domyśla się...

—Ale to są tragedye!—tragedye! zaczęła zrywając się z siedzenia i poczynając biegać po gabinecie Estella. — Czy ty mnie tylko nie mistyfikujesz?

— A! kochana hrabino, smutna to prawda tylko!

— Ja znam wszystkich paziów królewskich; któryż to z nich, proszę cię!

— Na miłość Boga, hrabino...

— Bądźże spokojny, przecież ja cię nie zdradzę... rychlejbym pomogła... Do tej nieznośnej wojewodziny mam ząb okrutny... Któż to, który z tych paziów?

— Wprowadzono go pod imieniem Leliwy; kto? jak? nie rozumiem i trwożę się...

— Leliwa! ten śliczny blondynek! Cherubinek! który ocalił pisarzownę od niedźwiedzia... wiesz o tem?

— Nie, nie wiem...

Estella poczęła historyę niedźwiedzia, panny i pazia.... Podskarbic słuchał z kolei zdumiony...

— Ten chłopiec jest na takiej drodze... że doprawdy może zajść daleko — mówiła hrabina — wszyscy się nim rozkoszują, chwalą go, protegują.

— Ależ przecie przerwał Podskarbic — nie może się nawet z rodziców wykazać?

— No, a ci co go tu wyprowadzili na świat tak zręcznie, potrafią mu i jenealogią zesztukować — śmiejąc się rzekła Estella. — Czy tylko ty się nie mylisz, bo strach ma wielkie oczy.

— Radbym się mylić, lecz dowody mam wszelkie.... Zapewne, dopóki ja żyję — mruknął posępniejąc Podskarbic — chłopiec pozostanie, kim jest, lecz.... po mej śmierci! Co za sromota dla imienia.... wszystko się może wyjawić.... wyciągną mnie z grobu.. ten sługa, zdrajca niepoczciwy....

Estella ochłonąwszy bawiła się już końcem chustki....

— Ależ bo pozwól sobie powiedzieć — rzekła — postąpiłeś sobie w całej tej sprawie najnieroztropniej; któż rzeczy robi przez połowę....

Nastąpiło po tych, wyrazach pełnych strasznego znaczenia, długie milczenie....

— Kto wspólników takiej roboty.... zostawia pod ręką, aby każdego czasu zdradzić i świadczyć mogli?

I znowu było milczenie.

— Byłeś bardzo złym, bardzo zepsutym — — dodała Estella — a razem z tem, nadto dobrym i bojaźliwym... Que voulez-vous? bui veut la fin veut les moyens.

Podskarbic nic nie odpowiedział.

— Tyś całe życie zawsze wszystko, nie wyjmując miłości, robił po połowie... dla tego zostały się zgryzoty, strapienia i zawody...

Wymawiając te wyrazy minę miała tak słodziuchną, a głosek dźwięczał tak niewinnie, jakby mu dawała naukę moralną. Podskarbic znękany wzdychał.

— Lecz co teraz począć? co począć? odezwał się.

— Rada nadzwyczaj trudna — po namyśle poczęła hrabina — w istocie chyba los nieszczęśliwy uwalniając cię od tych natrętnych... świadków, mógłby uratować.

— Tak, zapewne — ozwał się Podskarbic — ale ten chłopiec, ten.... chłopiec.... trzebaż było, aby się tu dostał i był na drodze... na której najprędzej szkodzić mi może ten zdrajca....

— Któż to taki?...

— Któż, jeźli nie stary sługa, mojemi dobrodziejstwami obsypany....

Hrabina zacięła usta.

— Prawdziwie, że mi cię żal, jesteś strasznie nieszczęśliwy... Historya z tysiąca nocy, ale ci nawet najlepszy przyjaciel ani najgorętsza przyjaciółka nie może dopomódz...

— A! — szepnął do ucha nachylając się Podskarbic — tyle jest sposobów... żeby tego chłopca uprzątnąć. Jużcibyć pani coś mogła... gdybyś chciała...

— Nie tak łatwo, jak ci się zdaje...

— Król go lubi? starać się nań ściągnąć gniew królewski, podejrzenie... coś takiego, coby go silnie skompromitować mogło...

— Estella zaczęła dumać, schyliła się z kolei do ucha Podskarbica, rozmowa dwojga dobrych, starych przyjaciół skończyła się szeptami, z których nikt już słowa dosłyszeć nie mógł.

Podskarbic zamiast powracać do Krakowa, na zimę postanowił zamieszkać w Warszawie; najął sobie mieszkanie, i nie chcąc wielkiego otwierać domu, ograniczył się skromnem kawalerskiem urządzeniem. Szczególniej powab towarzystwa hrabiny Estelli, u której za zielonym stołem spędzał wieczory ciągnąc bank dla mnogich gości, w czem celował i co bardzo lubił, przyczynił się do zatrzymania go w stolicy. Najczęściej też jadł obiad u niej, jeźli kto z dawnych nie zaprosił przyjaciół, odwiedzał kasztelana, i w małem kółku dobranych towarzyszów bawił się bardzo wesoło. Pomalutku przez nich wcisnął się i do takich domów, które go zrazu sobie nie życzyły i poglądały nań okiem niechętnem. Wielka ogłada, zręczność, dowcip odzyskany, umiejętność świata i znajomość serca ludzkiego, pomagały do tej nanowo rozpoczętej karyery. Gra była jego namiętnością, a jest ona tą, która najdłużej przeżywa, gdy inne spopieleją. W domu hrabiny tysiące dukatów czasem przechodziły przez stół jednego wieczora.. i kończyło się zwykle na tem, że dobra część zostawała w domu.. Najzapaleńsi gracze, którzy zrazu sromotnie wygrywali, byli tu najpożądańsi, wiedziano bowiem dobrze, iż ostatecznie oni się najprędzej rujnowali.

Spółce tej jednak długo się nie udało w niczem Leliwie zaszkodzić, choć na ochocie nie zbywało obojgu, a na przebiegłości i zręczności

hrabinie. W domu pani pisarzowej tylko Estella trochę podmyła grunt pod chłopakiem, szepnąwszy, iż po Warszawie różnie mówią o tych stosunkach, że to panience szkodzić może, a Leliwa niepotrzebnie się chwali, iż Ewunię rozkochał. Leliwa nigdy w życiu nikomu o pannie pisarzównej słowa nie wspomniał, że wypadało z dobrze ukartowanej gry, puścić takiego szmermela, który pisarzowę, ostrożną Litwinkę, zniewolił do zamknięcia domu prawie zupełnie przed paziem; przestano go zapraszać, przyjmowano zimno. Ewuni dodawano jedną z sióstr, w ostatku uczuć dano chłopcu przestrzeń, jaka go od królewskich kuzynek dzieliła.

Leliwa zasmucony, kryjąc w sobie ból, ustąpił. Ale zarazem zdrowie biednej Ewy pogorszyło się mocno, a lekarz oświadczył matce, iż jest zagrożoną, i że moralne cierpienie było choroby przyczyną. Próżno sobie łamano głowę, jakie mogło być to cierpienie moralne szlachetnej panienki. Matka nie wpadała nawet na myśl, żeby Ewunia kochać się mogła. Jakoś się to jej wydawało przedwczesnem. Dopiero czułe siostry wykryły jakieś poszlaki, ślady, znaki tajonej miłości; dojrzały, że Ewunia siaduje w oknie, przed którem paź przejeżdża w pewnych godzinach, że naówczas zarumieniona mocno chusteczką jakieś mu daje znaki.. Matka spłakała się i poszła po rozum do głowy, pojechała do króla JMości prosić go o radę.. Sprawa była delikatna, bo ją taić należało: dzieciństwo to było, lecz mogące ciągnąć następstwa nie miłe za sobą. Król się uśmiał serdecznie z trwogi kuzynki, radził jej z drobnych rzeczy wielkich nie robić, i córce zakazem, srogością niewczesną myśli nie poddawać.

Pisarzowa starała się skłonić króla, aby Leliwę wysłał gdzie, oddalił, przeniósł, ale to było trudnem.

— Najprzód powiem ci, że go lubię i że mi jest przy Albertrandim użytecznym — odezwał się król. — Jeżeli go z zamku oddalę, zostanie w mieście: a gdzież pazia posłać? jaką mu dać posadę? do wojska nie zdaje mi się, by miał powołanie. Nie zawinił mi też wcale, a wina względem was nie wielka, iż ocaliwszy życie córce waćpani, za jej wdzięczność miłością odpłaca...

Król potrafił uspokoić pisarzowę, a pułkownikowi Keunigsfeldowi, który paziowskim oddziałem dowodził, poufnie szepnął, aby od siebie Leliwie zakazał zbyt częstych przejażdżek pod oknami panien pisarzówien. Chłopak otrzymawszy przestrogę zarumienił się straszliwie, zaczął tłumaczyć; trudno zaręczyć, czy był posłusznym, zawsze jakoś droga tamtędy wypadała.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ROBINSON KRUZOE

— CZYLI —

SKUTKI NIEPOSŁUSZEŃSTWA

zupełnie nowo i treściwie ułożony.

(Ciąg dalszy.)

O drugiej godzinie po południu zajmował się znów ciesaniem łodzi. — I przy tej ciężkiej pracy schodziły mu dwie godziny, po upływie których szedł na brzeg morza, po części aby się wykąpać, po części aby nazbierać ostryg. — Pozostały czas do wieczora, użytkował w ogrodzie szczepiąc lub sadząc drzewa, kopiąc ziemię itp. Wieczorem, jeżeli nie było jakiej pilnej roboty, zwykł oddawać się ćwiczeniom gimnastycznym, wprawiał się w strzelaniu z łuku, rzucaniu celnie kamieniami z procy, władaniu lancą i t. p. aby w razie napadu dzikich, czego mógł się lada chwila spodziewać, był w stanie obronić się. — Z nadchodzącą wiosną

zapędzał swoje lamy do stajni, obszedł całe swoje gospodarstwo, a przekonawszy się że wszystko na swojem miejscu, przy świetle księżyca i gwiazd, do godziny dziesiątej zatrudniał się ręcznemi robotami, jak to: naprawiał swą odzież — sieć, przysposabiał sieci na ptaki, lub porządkował wnętrzne mieszkania. — W ten sposób przeżył Robinson na wyspie długie trzy lata. — Przez ten czas wciąż był zajęty swoją łodzią — a do jakiego stopnia zdołał doprowadzić wytrwałą swą pracą, oto nawet połowa pnia nie była wydrążoną należycie. Przy najlepszych więc chęciach i przy najusilniejszej pracy był w obawie czy za drugie trzy a może i cztery lat zdoła tę łódź zupełnie ukończyć. Pracował jednak niezmordowanie, bo i cóż miał robić? — musiał przecie być czemkolwiek zajęty.

Pewnego dnia wpadło mu na myśl, że już od tak dawna zamieszkując wyspę, zaledwie jej najmniejszą cząstkę poznał. Muszę, pomyślał sobie, odbyć podróż z jednego końca na drugi po tej wyspie. Kto wie co ja mogę w innej stronie tejże, na moją korzyść odkryć. — Ta nowa myśl tak nim owładnęła, że niezwłócząc postanowił zaraz nazajutrz o świcie wyruszyć, i jeszcze w tym dniu poczynił wszelkie przygotowania do tej podróży. — Na drugi dzień opakował jednę z swych lam żywnością na cztery dni; — włożył swój rynsztunek na siebie, i przeżegnawszy się, zdając wszystko na wolę Bozką ruszył w drogę.

Ponieważ zawsze był w obawie napadu dzikich zwierząt, przeto idąc gęstym lasem, usiłował zawsze trzymać się brzegu. — W pierwszym dniu wędrówki przebywszy mniej więcej do trzech mil, nie napotkał na nic uwagi godnego. Idąc dalej, coraz dokładniej przekonał się o jak najgorszej i najpłodniejszej okolicy w której obrał sobie siedzibę. — Noc, z obawy dzikich zwierząt przebył Robinson na drzewie a za nadejściem dnia puścił się w dalszą podróż. — Nie daleko uszedłszy zwrócił się na stronę południową wyspy — gdy w tem stanął w miejscu, jakby piorunem rażony, z zapartym oddechem drżąc na całem ciele jak liść osiki z wzrokiem w słup, w jedną stronę zwroconym. Na piasku przed sobą bowiem ujrzał ślady bosych nóg przez ludzi zostawione. — Powód jego przestrachu był ten: On nie myślał, aby ślad ten zostawiony był przez jego przyjaciół i braci, przez ludzi oddychających miłością i niosących z ochotą pomoc w spółbraciom swym, którzyby go poratowali i dali jaką usługę; ale przez straszne, nieprzyjazne ludziom stworzenia, którzy w swojej wściekłości kogo tylko popadną, zaraz mordują na śmierć. — Jednem słowem myślał, że ślad ten wydeptał nie ucywilizowany Europejczyk, lecz jaki dziki ludożerca — których znaczna ilość pod kanibalami na karabijskich wyspach przebywala.

Nie dosyć na tem—przestrach jego wzmógł się — gdy ujrzał widok — na który natura ludzka wzdryga się. — Nie opodal bowiem był wykopany w ziemi okrągły płytki dół, w którego środku znajdowały się głownie po zgaszonym przed chwilą ogniu pozostałe i dokoła w tem miejscu porozrzucane były czaszki, ręce, nogi i inne członki ludzkie z których mięso było ogryzione.

— To uczynili ludzie pomyślał, a raczej najdziksze zwierzęta w ludzkiej postaci, którzy byli do tego stopnia żarłoczni i wściekli, że przewyższając w dzikości wszystkie zwierzęta — nie mając w sobie i cząstki jakiejkolwiek miłości ludzkiej; ciała zabitych braci — pożerają. Mieszkali wprawdzie wtenczas na wyspach karabijskich dzicy ludzie, których karabijskimi kanibalskimi ludożercami zwano, którzy mieli ten szkaradny zwyczaj, wszystkich nieprzyjaciół, których w bitwie pochwytali, zabić, tańcząc i śpiewając upiec i w końcu z nieludzką żarłocznością pożerać. — Robinson odwrócił twarz od tego okropnego widoku i z taką szybkością począł oddalać się od tego miejsca, że poczciwa lama nie mogła zdążyć za nim, a i wreszcie zmęczony do upadłego bez pamięci, znalazł się na swojem terytoryum. Nie ochłonąwszy jeszcze z pierwszego wrażenia, więcej znużony jak przestrachem zdjęty, zaledwie padł u podnóża swej góry, gdy w tem słyszy jakby z nieba głos wołający: „Robinsonie biedny Robinsonie gdzieżeś ty był”?!! na te słowa przestrach wskroś go przeniknął i o mało życia nie pozbawił. — Skoczył jak oparzony drżąc i szczękając zębami, czuł drętwienie członków i sam nie wiedział czy uciekać czy zostać na miejscu. W tejże chwili usłyszał te same powtórnie wymówione wyrazy — i gdy mimowoli zwrócił oczy w stronę zkąd głos pochodził, uznać był zniewolony, że nie było powodu do tak wielkiego przestrachu. Głos nie pochodził bowiem z nieba, ale z drze-

wa w pobliżu rosnącego, na którym jego papuga siedziała; wróciwszy prędzej od niego do domu i nie widząc swego pana, szukała go wołając wyrazami, które często od narzekającego Robinsona powtarzane, wbiły się w jej pamięć.

Z jednej ostateczności wpada się w drugą; z gwałtownego przerażenia przeszedł Robinson w niewypowiedzianą radość — wyciągnął do swej ukochanej papugi ręce, wołał na nią, a gdy ucieszona do niego przyfrunęła i siadła na ramieniu, szczypiąc go dziobem po twarzy, nosie, ustach, trzepocząc skrzydłami i na zakończenie jeszcze raz zaintonowała: Robinsonie biedny Robinsonie gdzie byłeś?" — zapomniał na chwilę nawet o ludożercach.

Wzruszenie jednak tego dnia nie dozwalało Robinsonowi prawie przez całą noc zamrużyć oka. Ciągle stał mu straszny widok jak widmo złowieszcze przed oczyma. — Przewracał się to na jeden, to na drugi bok, zaciskał oczy, ale napróżno, jego rozgorączkowana wyobraźnia widziała tysiące krwawych bitew, które staczał z dzikimi, widział swój ogród, drzewa nowo zasadzone lub zaszczepione tak pięknie rosnące, swoje mieszkanie, słowem wszystko całe gospodarstwo co z taką pracą w krwawym czoła pocie urządził, do szczętu zniszczone.

Całą jego nadzieją było to, że dzicy będąc w tej okolicy, nie domyślą się, że tu jaki człowiek znajduje się.

XI.

Przysłowie mówi: „z czasem nabywa się rozumu." — Gdy bowiem Robinson ochłonął z pierwszego strachu przyszło mu na myśl, że mieszkając tak długo na tej wyspie, dotychczas nie widział żadnego dzikiego w swej okolicy, ztąd wniosek, że wyspa nie jest zamieszkałą przez ludożerców o których myślał, ale zapewne chwilowo tylko tu przybywają aby sobie właściwą ucztę sprawić, — wybierają na ten nieludzki cel południową stronę wyspy, a po dokonaniu swego bankietu oddalają się na sąsiedne wyspy po nowe łupy. W każdym razie aby być lepiej zabezpieczonym od oka tych niemiłych gości, postanowił więcej osłonić swą kryjówkę. Powsadzał więc dokoła pieczary mnóstwo dzikich jak najprędzej rosnących drzew tak, że z nich utworzył gęsty las.

Dla lepszego obwarowania się i zabezpieczenia w razie gdyby jego siedlisko odkryte zostało, umyślił zrobić tajemny wychód, którymby mógł od oblegających nieprzyjaciół, gdy już nie byłoby nadziei obronienia się; uciec.

I pod wpływem tej myśli wziął się do olbrzymiej pracy, przekopania na drugą stronę jaskini. Ziemię ztąd powstałą wyrzucał do koła swego wejścia na drzewa, i po usilnej pracy zdołał wysypać wał gruby na 8 a wysoki na 10 stóp.

W różnych miejscach tego wału powyrabiał otwory na kształt strzelnic któremi mógł widzieć do koła całą okolicę, od strony wewnętrznej wału porobił schody aby w razie napadu mógł z łatwością wchodzić i schodzić z niego. — Budowa łodzi szła swoim trybem, i tak przeszedł jeszcze 1 rok, w którym nic więcej nadzwyczajnego nie zaszło. W jednym z ciepłych ożywczych ranków, kiedy Robinson jak zwykle zajęty był w tę porę ciesaniem łódki, — w niewielkiej odległości ujrzał kłęby dymu wznoszącego się pod obłoki.— Przestrach, a następnie ciekawość dowiedzenia się o przyczynie tego zjawiska opanowały go. Zachowując jednak ostrożność, wrócił do swej fortecy, wybiegł na górę zkąd mógł wszystko dokładnie widzieć. — Obraz, który niegdyś w swojej wyobraźni wystawiał, — dzisiaj w całej okazałości mógł w rzeczywistości obejrzeć.

Na brzegu dostrzegł cztery małe łódki, a nie opodal może z trzydziestu dzikich, którzy przy wielkim ogniu do koła to siedzieli, to z barbarzyńską dzikością machając rękami, skacząc co miało zapewnie być ich tańcem, przeraźliwe wydawali głosy. — Powoli rozpatrzywszy się Robinson, zaczął przychodzić do siebie, przestrach minął, a natomiast nabrał odwagi. Wpadł co prędzej do mieszkania, wziął na siebie rynsztunek i krótką modlitwą do Boga wzmocniony, z spokojem w duszy zbliżył się jak mógł najbliżej do miejsca, w którem dzicy biesiadowali, i z wierzchołka góry wziął ich pod swoją obserwacyę.

Jakże mu biło serce, jakże by chciał być olbrzymem silnym, w chwili, gdy widząc jak dzicy dwóch nieszczęśliwych ludzi skrępowanych powrozami z łódki wlekli do ognia, chciałby ich ratować, bo wiedział, że niedługo będą

pozbawieni życia — ale to było niepodobieństwem.

Jeszcze nie wyszedł z swego chwilowego obłąkania, gdy widzi jak rozwiązawszy postronki jednego z tych nieszczęśliwych, bez litości zaczęli bić — potem rzucili go na ziemię, a dwóch z boku przyskoczyło do niego, zapewnie w celu zabicia onego i sprawienia sobie uczty.

Podczas tej operacyi drugi stał na boku i przypatrywał się temu okrucieństwu, czekając kiedy na niego przyjdzie kolej. Na chwilę jednak zajęci pierwszym, mordercy mniej zważali na swego więźnia, — co ten spostrzegłszy, począł co sił uciekać z niewyrównaną szybkością — w stronę, gdzie było mieszkanie Robinsona.

Radość i obawa miotały sercem Robinsona. — Radość, gdy widział, że uciekający niezrównanie szybciej biegł jak goniący go, obawa gdy dostrzegł, że tak pierwszy jak drudzy co raz więcej zbliżają się do jego fortecy.

W tejże chwili nabrał Robinson odwagi jakiej może nigdy w życiu nie posiadał, — jego serce ścisnęło się na widok nieszczęśliwego. Powziął myśl ocalenia — schwycił za lancę, zastąpił drogę uciekającemu — i godząc w niego ostrzem swej lancy, zawołał piorunującym głosem „stój"! — Biedny niewolnik przestraszony do żywego tym niespodzianym napadem, wzrokiem i postacią dziwną Robinsona, który jak wiemy był cały skórą kudłatą okryty, biorąc go za jakąś nadludzką istotę — stanął jak wryty, nie wiedząc co z sobą zrobić. Robinson to ręką to giestami usiłował dać mu do poznania, że nie jest jego nieprzyjacielem, ale że chce dać mu pomoc — i gdy jeden z goniących go tak blizko przypadł, że mógł go Robinson lancą dosięgnąć, z całą zręcznością przyskoczył do niego, i pchnął ze wszystkich sił w piersi jego tak, że od razu nieżywy padł na ziemię; — drugi zaś z dzikich będąc odległym jeszcze o 100 kroków może, i widząc co się dzieje, napiął łuk i wypuścił strzałę na Robinsona, — strzała trafiła w same piersi, na szczęście jednak była zasłabo puszczona aby przebić twardą skórę, od której odbiwszy się, najmniejszego złego nie wyrządziła. Przezorny Robinson nie czekał aż drugi raz jego nieprzyjaciel naciągnie łuk, ale nagle przyskoczywszy, ugodził go swą lancą tak, że jak długi padł na ziemię. Z tryumfem spojrzał Robinson na ocalonego. Ten zaś nieruszając się z miejsca w którem był zatrzymany, jeszcze nie mógł przyjść do siebie. — On nie wiedział, czy Robinson zabił jego wrogów dla ocalenia go, czy też idzie po to, aby po kolei i z nim to samo zrobić.

Zwycięzca wołał w różny sposób na niego, ten słuchał, postąpił parę kroków, znów stanął i milczał jak zaklęty, — przestrach i odrętwienie widoczne były na wszystkich jego członkach, a mina jego wyrażała prośbę. — Robinson pokazywał mu giestami swoją przychylność i skinął ręką, aby się zbliżył do niego. Dziki zbliżał się klękając co 10 lub 12 kroków, a z jego ruchów poznać można było, że Robinsona uważa za swego króla i pana.

Wtedy Robinson zdjął swoją maskę, i pokazał mu swą przyjaźną i pełną ludzkości twarz. Poznał wreszcie dziki o co idzie i zupełnie ośmielony, już bez żadnego namysłu przystąpił do niego, — ucałował ziemię, a przyklęknąwszy położył Robinsona nogę na swoich barkach, na dowód, podług ich zwyczaju, że chce być jego niewolnikiem. — Robinson podniósł go ze ziemi i wszelkiemi sposobami chciał mu dać do poznania, że od niego tylko wszystkiego najlepszego spodziewać się powinien, że nie będzie uważany za sługę lub poddanego, lecz za przyjaciela i towarzysza swego. Zajęci w ten sposób sobą, nie zwrócili uwagi na jednego z poległych, który będąc tylko ciężko rannym, przyszedł do siebie, usiłował powstać, a uchwyciwszy garść trawy, przykładał do rany, aby choć w części płynącą krew zatamować. Spostrzegł to Robinson i pokazał to nowemu towarzyszowi, który mu na to odpowiedział żywo i głośno parę słów swoim językiem, który jakkolwiek zupełnie dla Robinsona niezrozumiały, jednak bardzo miłe zrobił wrażenie na nim, tak spragnionym usłyszenia głosu ludzkiego od tylu lat niesłyszanego. — Dla tego też o mało nie rzucił się na szyję mówiącego, i wstrzymała go tylko obawa niezrozumienia przyczyny ze strony towarzysza, tego wybuchu radości sprawionego. Indyanin pokazał topór kamienny Robinsonowi, i dał mu do zrozumienia, ażeby rannego dobił. Nasz bohater nie lubiał przelewać krwi ludzkiej, to życie tak w wypadki obfite przeobraziło jego dawną burzliwą naturę, i chociaż była potrzeba dobicia rannego z litości, widząc go śmiertelnie zranionego, aby się dłu-

żej nie męczył, dał ocalonemu dzikiemu topór, wskazując na leżącego.

Ten uradowany, z dziką radością pochwycił tenże, pobiegł i nieszczęśliwego jednem cięciem głowę na dwie części rozpłatał; — a niezaniedbując zwyczaju swego, odciął mu takową, i podskakując z ruchami radosnemi, złożył ją wraz z toporem u stóp rozrażonego taką dziką ochotą Robinsona; — który rozkazawszy zabrać łuk i strzały zabitych, polecił mu iść ze sobą. Dziki zatrzymał się jeszcze chwilę, aby poległych zagrzebać w piasek, a tym samem ukryć trupów przed tychże towarzyszami. — Ucieszony Robinson takiem dowodem ludzkości, chwalił migami przezorność dzikiego, a tenże z taką szybkością wziął się do grzebania, — że w kwadrans niespełna obydwa trupy starannie pogrzebane zostały; po ukończeniu tem, udał się za Robinsonem przez górę do jego mieszkania.

XII.

Mimo to Robinson z swoim towarzyszem niedoli, znajdowali się w niebezpiecznem położeniu. Można się było spodziewać co chwila, — że dzicy szukając swoich poległych towarzyszy i zbiegłego jeńca, łatwo mogą natrafić na pomieszkanie Robinsona, takowe zburzyć, a Robinsona wraz z jeńcem uprowadzić i zabić.

Przestraszony drżał na samo wspomnienie, a wdrapawszy się na wierzchołek góry, ukryty między krzewami przypatrywał się zdala obrzydliwym tańcom i kanibalskiej uczcie tych potworów, obserwując zarazem każdy ruch, przez tych barbarzyńców robiony.

Westchnienie do Boga obrońcy niewinnych, dodało mu odwagi i siły; — postanowił udać się do swojego ukrycia, i dawszy znak naiwnie rozglądającemu się sprzymierzeńcowi, ostrożnie schodził z góry, zdążając powoli do domu swego.

Pomieszkanie Robinsona było dla dzikiego tem samem, czem dla naszego chłopa przywykłego przebywać w dymnej chałupie, pałac królewski. — Wszystko go dziwowało, z otwartemi usty i oczami ciekawemi rozglądał się głupowato, nie śmiejąc się niczego dotknąć, nie mający żadnego wyobrażenia o przedmiotach otaczających onego, a jego nowy pan wydał się teraz półbogiem, — i gdyby nietrapiąca myśl o napadzie ludożerców — widok przybyłego to krzywiącego się, to siniejącego, roztwierającego usta, i ta śmiesznie nieśmiała i przymusowa wstrzemięźliwość z obawy dotknęcia się czego bądź, byłby dla Robinsona nader zabawny. — Ale nasz bohater myślał tylko o środkach zabezpieczenia się przed napadem nieprzyjaciół, zdołał to głosem, to na migi odkryć dzikiemu swą myśl i po nie małym trudzie cel nareszcie został osiągnięty.

Zrozumiawszy Robinsona i poznawszy dziki rzecz o jaką mu chodzi, nie okazał żadnego strachu ani zaambarasowania się, ale krzyknął przeraźliwie jakby grożąc ludożercom, a porwawszy za siekierę, dał do poznania wywinąwszy nią z nadzwyczajną szybkością po kilka razy nad głową, że mając tę broń, nie obawia się nikogo. — Widząc to Robinson, nabrał więcej otuchy bo uważał, że ma silnego sprzymierzeńca, pochwalił zatem jego odwagę — dał mu lancę, łuk i strzały i postawił na warcie przed otworem, który jakieśmy to poprzednio powiedzieli, był na kształt strzelnicy przyrządzony, a zaleciwszy baczność — sam udał się na przeciwną stronę, gdzie również uzbrojony straż odbywał. — W tym stanie przepędzili blizko godzinę i już żwawy i chętny do boju Indyanin zaczął się nudzić — bo niewypowiedzianą miał ochotę spróbować na kim swojej lancy; gdy usłyszeli w oddaleniu przeraźliwe krzyki z kilkudziesięciu piersi pochodzące.

Mimowoli zwrócili na siebie wzrok, nasi wojownicy i zrozumiawszy się — oczekiwali nawzajem walki; ale nic nie było więcej ani widać ani słychać.

Po chwili wrzaski odbiły się o uszy daleko głośniej jak przedtem, z czego wnioskować należało, że byli zbliżeni.

Idą — pomyślał Robinson, i wzrok wytężył; — cisza zapanowała na nowo.

W końcu dał się słyszeć głos gruby w samej blizkości, który echo przeciągłe powtórzyło, roznosząc dalej a dalej.

Oczekując tak nieprzyjaciela, z napiętemi łukami i z bijącem sercem, zdecydowani pierwszego lepszego który się zbliży trupem położyć, — przetrwali do wieczora; a przyszedłszy w końcu do przekonania, że dzicy po daremnem poszukiwaniu opuścili wyspę — odłożyli broń,

i Robinson dał hasło do kolacyi. — Ponieważ całe to zdarzenie miało miejsce w dzień piątkowy, przeto Robinson na pamiątkę tę nazwał ocalonego „Piątaszkiem" o czem tenże dowiedziawszy się — z radością połknął od razu wielką ostrygę, i śmiejąc się serdecznie klaskał w ręce.

Roztargnienie Robinsona jakie wypadki tego dnia zrodziły, nie dozwalało dokładnie przypatrzeć się dzikiemu nowo na Piątaszka kreowanemu. Teraz dopiero mógł mu się uważnie przyjrzeć. — Był to człowiek dobrego wzrostu, mający najwięcej lat 20 — cera jego była ciemno brunatną śklniąca, czarne skręcone włosy, nos mały, i zęby białe jakby z kości słoniowej. — Muszkularna budowa całego ciała oznaczała niepospolitą siłę. — W uszach przekłótych nosił muszle i pióra różnego jaskrawego koloru, co było dowodem znakomitego pochodzenia. Prócz tych ozdób nie miał na sobie żadnego okrycia.

Chociaż Robinson znużony całodziennym niepokojem, jednakże wziął się do uszycia ze skóry lam ubrania dla swego towarzysza, a ukończywszy, kazał ubrać mu się, za co Piątaszek powtórnie przyklęknąwszy, postawił jego nogę na swem ramieniu jako hołd poddaństwa.

Pokrzepiwszy strudzone członki czem Bóg dał — udali się na spoczynek, a Robinson dłużej jak kiedykolwiek dziękował Bogu za opiekę i dary w tym dniu otrzymane.

XIII.

Następnego dnia, było pierwszą czynnością udać się na to miejsce, gdzie ludożercy swoją ucztę wyprawiali. Widok wprawdzie nie obcy Robinsonowi, okropniejszy — bo nie zatarty czasem; — w piecu widział szczątki ogniska, szczątki suchych pruchniejących kości. — Teraz wszystko świeże, poucinane nogi, ręce, głowy — jedne ogryzione z mięsa, na innych jeszcze takowe pozostało, — zapach niezastygłej jeszcze krwi, którą dokoła ziemia przesiąknięta, — na poucinanych głowach widać z wykrzywionej twarzy, otwartych ócz, męczarnie przez które nieszczęśliwe ofiary musiały przejść nim śmierć nastąpiła. — Wszystko to razem wzięte stanowiło widok nie do zniesienia, mimowoli zmuszony był Robinson odwrócić oczy, bo czuł, że go od zgrozy siły opuszczają. — Wytrawniejszemu w tym względzie Piątaszkowi polecił zebrać pozostałe szczątki barbarzyństwa i w jeden dół zakopać, co też z ochotą natychmiast wypełnionem zostało.

Umieć korzystać z każdej okoliczności, jest to wielki przymiot, — który Robinson w znakomity sposób w sobie rozwinął. — Mimo zakłopotania, — z uwagą przetrząsał popiół i węgle z wczorajszego ognia pozostałe — czy gdzie nie znajdzie choć jednej tlejącej się iskierki, ale nadaremnie — zmęczony musiał z żalem zaniechać dalszych poszukiwań.

Piątaszek z uwagą przypatrywał się swemu panu, a widząc jego smutek, zaczął coś machać rękami, i wymawiać słowa, z czego Robinson wnosił, że czegoś chce, ale nie mógł się domyśleć czego.

Nagle porwawszy siekierę, szybko jak strzała pobiegł do lasu. Robinson smutno popatrzał za nim, sądząc, że ten zamyślił niewdzięcznością odpłacić się za jego dobro, ratując go od pewnej śmierci i zmówiwszy swoich towarzyszy, napadnie na mieszkanie jego. — Ale zdziwienie jego nie miało granic, gdy spostrzegł Piątaszka żwawo z lasu powracającego, a co większa, trzymającego w rękach garść suchej palącej się trawy. — Rzuciwszy takową na ziemię, dołożył chrustu, suchych liści i rozniecił ogień, tak wielce przez Robinsona upragniony. — Teraz dopiero poznał co znaczyły te jego giesta, przeniknąwszy bowiem myśl Robinsona, schwycił on za siekierę, aby nią w lesie urąbać dwa kawałki odpowiedniego drzewa, — te trąc o siebie z siłą i szybkością zapalił — a obwinąwszy suchą trawą, biegł co sił starczyło, aby przez powietrze rozniecić płomień.

Wstydził się Robinson — i żałował swej przedwczesnej popędliwości w obwinieniu tego, który mu chcąc tak wielką przysługę wyświadczyć, został za niewdzięcznika uznany. — Poznał, jak to nieraz pomylić się można, posądzając trzeciego bez dokładnego przekonania, jak nie raz smutne i nigdy niepowetowane skutki ztąd wyniknąć mogą, bo i w tym razie, gdyby był więcej popędliwy, obwiniając Piątaszka o zamiar zdrady i napadnięcia na jego dom, w celu zapobieżenia temu, mógł z nim nierozważnie walkę rozpocząć i albo zabić swego najlepszego przyjaciela, towarzysza i sługę, albo być przez niego zabitym. — Wziął więc to do

serca, powtarzając pamięci godne przysłowie: „nie mów hop! aż przeskoczysz rów."

Oporządziwszy o ile możności miejsce biesiady, — wziął palącą się głownie i w towarzystwie Piątaszka udał się do pomieszkania. — Tutaj rozpalili suty ogień. — Robinson zabił młodą lamę, a odrąbawszy ćwiartkę — wsadził na rożen z drzewa zrobiony, i pokazał Piątaszkowi, jak ma nad ogniem obracać.

Bez potrzeby będzie tu opisywać to wielkie ukontentowanie Robinsona z nabycia ciepłej i smacznej pieczeni, bo to każdy z czytelników łatwo poznać umie, przypomniawszy sobie, jak oddawna nasz biedny rozbitek pościć był przymuszony. — Ja tylko tyle dodam, że zapomniawszy on o wszystkiem złem, sądził się być w swej ojczyznie. Rozmawiał z swym towarzyszem, ucząc go swej mowy, i od śmiechu nie mógł się wstrzymać słysząc Piątaszka przekręcającego podawane mu wyrazy.

XIV.

Obecne położenie Robinsona — szczęśliwszem na teraz być nie mogło. Życie jego nie było już samotne — a co go najwięcej cieszyło, że miał towarzysza, z którym wprawdzie nie mógł jeszcze dobrze rozmówić się, ale już sama obecność wesołego Piątaszka, była mu prawdziwą osłodą w smutnych chwilach. — Miał znów ogień, mógł przeto przysposabiać ciepłe, pożywne i smaczne potrawy. Obawa tylko, że dzicy mszcząc się na nim za swych współtowarzyszów, co chwila mogli napaść na jego dom, zabrać wiernego Piątaszka, i nawet pozbawić życia obydwóch, wciąż go niepokoiła, drżał na samo wspomnienie, że przyjdzie przelewać krew ludzką, nie będąc przytem w pewności, — jak się ta walka powiedzie, i jaki koniec losu jego wypadnie.

Jedynem więc sposobem było zawarować się w swej jaskini tak, aby nieprzyjaciel nie mógł się do nich dostać. Dawno już myślał o tem, aby przerobić swą kryjówkę na fortecę — i widzieliśmy już w jaki sposób dokonywał tego zamiaru, ale to co już zrobił, niebyło dostatecznem. Niebył jednak w stanie zadosyć uczynić swoim chęciom, będący sam, bo przy fortyfikowaniu już nie ochoty i pracy, ale więcej rąk i sił potrzeba było.

(Dalszy ciąg nastąpi).

GAWĘDZIARZ.

(Ciąg dalszy.)

Zorza północna.

(Opowiadanie starego Kaprala.)

— Razu jednego było przy stożeniu siana, miało się jakoś na deszcz, wieczór zapadł a stóg był niedokończony, ale że noc była dosyć widna, zachęciłem więc moich ludzi żeby dokończyć roboty nocą, miałem pomiędzy nimi starego żołnierza wysłużonego, który po 25-cio letniej służbie, powrócił do wsi rodzinnej, mało kogo już zastał ze swoich, do pracy nie był to już jakoś wiek jego, nie chcąc jednakże, żeby człowiek z mojej wsi, psy drażnił włócząc się po proszonym na stare lata, wziąłem go do dworu na karbowego; stary gaduła lubił dużo mówić, i widział rozmaite rzeczy — kiedy więc zaczął opowiadać, wszyscy słuchali z natężoną uwagą. — Teraz chcąc żeby ludziom jakoś raźniej i milej zeszła robota nocna, odezwałem się do niego:

„No kapralu, bo takeśmy go nazywali, opowiedziałbyś nam coś tam widział na szerokim świecie, toby jakoś raźniej nam poszła robota."

„Ach! proszę Wielmożnego Pana, właśnie miałem mówić, że gdybyśmy tu mieli takiego czarodzieja, jakich ja tam widziałem w Kamczatce, co by nam tu w jednej chwili rozświecił noc i zamienił w najpiękniejszy dzień, tobyśmy się obyli bez tego bladego miesiąca, co nam tak świeci jak gdyby mu się spać chciało, a i

człowiekowi jakoś się ma na ziewanie.”

„A bo to prawda!” powiedział jeden z chłopów, „żeby tam tacy byli czarodzieje, to czemuż by i u nas być nie mieli.”

„Już to teraz takie czasy,” rzekł kapral, machając z gniewem ręką, „że jaja są mądrzejsze od kury, a kiedy ty lepiej wiesz jak ja stary, com na to patrzał, to już nic nie będę mówił.”

„Ale nie zważalibyście na to kapralu” odezwało się parę głosów ciekawych usłyszeć historyą, „opowiedzcie nam jak to było.”

„No, no, nie gniewaj się stary, rzekłem, opowiesz nam coś widział, ja wiem że bywają wypadki w tamtych stronach, że noc się na dzień zamienia, ja ci wierzę.”

„No — widzita młokosy,” powiedział z tryumfującą miną kapral, „aż miło kiedy to jest taki co rozumie rzeczy; i zna się na piśmie.”

„Otóż opowiem wam com sam widział na własne oczy.”

„Kiedy przybyłem z partyą nad rzekę Lenę, do miasta Jakutska, (jest to daleko położone miasto w głębi Rosyi), gdzie my się właśnie mieli przeprawiać na drugą stronę, tu właśnie wypadł nam nocleg, a przytem powiem, że pomiędzy rzeką, a drugą Jenisiej, która jest bliżej nas, i którą przed parą miesiącami przed tem przechodziłem, zaczynają się już ogromne góry, które prawie nieprzerwanie ciągną się aż do samej Kamczatki, położonej nad samem morzem.

„Otóż chociaż przybyliśmy na nocleg do Jakutska, ale człowiek strudzony drogą i niebardzo wesoły, nie miał ciekawości obejrzeć miasto, a rad czemprędzej rzucić się na garści słomy owsianej, bo innego tam już zboża w tamtych stronach prawie nie sieją, aby cokolwiek odpocząć, i być gotowym do jutrzejszego marszu; zresztą i wieczór zapadł. — Ale jakież było moje zadziwienie, kiedy zostałem obudzony przez towarzyszów mojej podróży, wydających okrzyki zadziwienia. — Najprzód zobaczyłem przed nami wspaniałą rzekę Lenę jakby całą w płomieniach. — Wody jej poruszane lekkim wietrzykiem, fałdowały się w złote bałwany, z których miliony świecących iskier wytryskało, — spojrzałem na niebo, i zakryłem sobie oczy; zdawało mi się, że ja jeszcze śnię; na niebie zatoczone było ogromne świecące się koło jak gdyby tęcze, ale czemże tęcza w porównaniu tego co ja tam widziałem, cała ta tęcza, tak się świeciła, tak iskrzyła cudownie, niebo było tak białe po którem miliony milionów złotych pływało iskierek, formując z siebie słupy, których końce zdawało się, że się opierają o ziemię, a wierzchołki podpierają niebo; przytem jakiś dziwny szum w powietrzu, jak gdyby jaką pieśń cudowną nuciło tysiące ptaszków maleńkich. To trwało z jakie pół godziny, i wszystko mi się znowu w oczach zmieniło; środek tego koła zaczął ciemnieć a sama tęcza świetnej białości, zaczęła się zamieniać w kolory, niebieskawy, złoty, zielonawy, rozpływające się na niebie, a widowisko to trwało kilka godzin, a mieszkańcy tamtejsi utrzymują, że są czarownicy mieszkający w górach, którzy podróżując w nocy oświetlają sobie tym sposobem drogę.

(Dokończenie nastąpi.)

HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

Armia związkowa powiększyła się znów na 100,000 ludzi, lecz Hooker z powodu sporu z Halleck'em głównodowodzącym wszystkiemi wojskami St. Zjednoczonych, podał się do dymisyi; miejsce jego zajął jen. Jerzy H. Meade w dniu 28 czerwca. Po kilku potyczkach pomiędzy mniejszemi oddziałami, stanęły główne armie naprzeciw siebie pod Gettysburgiem. Walka zaczęła się około trzeciej godzinie (2 lipca 1863) po południu a zakończyła o 10 godzinie, jak się zdawało na korzyść Konfederatów. Nazajutrz o czwartej rozpoczęła się walka na nowo,

dokazywano cudów waleczności z jednej i drugiej strony, południowcy przegrali jednakowoż bitwę. Armia północna utraciła 23,186 (włącznie rannych); południowcy utracili 30,000, włącznie 4,000 wziętych w niewolę. Lee cofnął się do Virginii. Od czasu tego poczęło się zwycięztwo przeważać na stronę przeciwników niewolnictwa.

Tymczasem utworzyła się w stanach północnych partya pokoju, która żądała aby z południowcami zawarto pokój i uznano niepodległość konfederacyjnych stanów południowych. Partya ta buntowała przeciw administacyi kraju, gdzie tylko mogła. Opozycya ich doszła do tego szczytu, że gdy prezydent w dniu 8 maja 1863 rozporządził konskrypcyę dla zapełnienia przerzedzonych szeregów, to mowy tych polityków podburzały lud po większych miastach do buntu, który też wybuchł w Nowym Yorku w dniu 13 lipca gdy losowano, kto ma wstąpić w szeregi, a kto pozostać w domu. Motłoch, który się szybko zgromadził, spalił przyrząd do losowania i dom, w którym się znajdował. Palono, rabowano, mordowano murzynów, obrabowano zakład dla sierót po murzynach i spalono go. 400 ludzi utraciło życie i własność w wartości dwa miliony dolarów została zniszczoną. Policya zdołała uśmierzyć bunt za pomocą wojska. Istnieją dowody, że przyjaciele pokoju mieli styczność z południowcami i czekali tylko na chwilę, gdyby Lee stanął przed Washingtonem. Na zachodzie miano także utworzyć zastęp mający pracować wraz z drugimi i dla tego wysłano do Ohio i Indiana słynnego dowódzcę guerilassów Morgana, który z bandą swą pustoszył te stany tak, aby ludność tamtejsza koniecznie zażądała, pokoju. Lecz mieszkańcy tych stanów nie wdawali się w takie sprawy. W 24 godzinach po przybyciu Morgana do Indiany, powstał lud tamtejszy i wygnał go ze stanu, toż samo zrobiono w Ohio; ścigano Morgana i wzięto nareszcie w niewolę z kilkoma z jego zwolenników.

Gdy Lee ubiegł do Virginii, postanowił Meade go ścigać. We wrześniu przeprawił się przez rzekę Rappahanock i przepędził Lee'a przez rzekę Rapid Anna, po za którą tenże zajął stanowisko obwarowane. Tu i owdzie stoczono mniejsze potyczki.

Lee czując się znów silnym, postanowił następnie iść do Washingtonu, choćby i Richmond miał być utracony, lecz rząd południowy nie chciał na to zezwolić. Postanowił więc okrążyć prawe skrzydło Meade'go, zajść mu z tyłu i wtenczas uderzyć na stolicę. Meade poznawszy plan nieprzyjaciela, począł się także cofać ku stolicy i zdołał Lee'a wyprzedzić. W tej gonitwie dwóch armii zaszło kilkanaście potyczek, które po większej części wypadły na korzyść armii związkowej. Lee widząc, że plan jego się nie uda, cofnął się, Meade zaś szedł za nim a pobiwszy Konfederatów pod Rappahanock Station, zapędził ich aż do Culpepper House. W listopadzie uderzył jeszcze raz na obóz Konfederatów, lecz ci okopali się tak mocno, że poznawszy nieużyteczność ataku, cofnął się do leż zimowych na północnej stronie rzeki Rapid Anna. W ten sposób zakończyła się kampania armii Potomac'u w r. 1863.

W zachodniej Virginii było wszystko spokojnem od końca roku 1861. Dopiero w lecie 1863 zaszły pomniejsze utarczki, w których atoli powiększej części oddziały północne zwyciężyły.

Udajmy się znowu do Tennessee, gdzieśmy zostawili jenerała Rosecranz pod Murfreesborro a Bragga cokolwiek bardziej na południe nad rzeką Duck. W tej pozycyi leżały obie armie od stycznia aż do września 1863 roku. W lutym usiłowali Konfederaci wziąść Fort Donelson, lecz zostali pobici. W dniu 5 marca musiał się pułkownik Colnon poddać południowcom, gdy tymczasem jen. Sheridan przepędził Konfederatów pod Van Dornem przez rzekę Duck.

W dniu 18 marca pobił pułkownik Hall armii związkowej naczelnika guerilasów Morgana na wschód od Murfreesboro. Na początku kwietnia, okazał się znów Van Dorn przed Franklin, chcąc zająć to miejsce a potem uderzyć na jen. Rosecranz w Nashville, lecz jen. Gordon Granger komendant w Franklin, pobił Konfederatów w dniu 10 kwietnia 1863 roku. Oddział armii Rosecranza pod jen. Reynolds zniósł część bandy guerilasów Morgana pod McMiaville.

W Kwietniu podjął pułkownik Streight z armii Rosecranza wyprawę przez Alabama aż do północnej granicy Georgii, szkodząc nieprzyjacielowi o ile tylko mógł. Znużony jego oddział został atoli w dniu 3 maja 1863 r. pobity i większa część wzięta w niewolę.

W dniu 23 czerwca wyruszył jen. Resecranz na czele trzech kolumn z Murfreesboro i pobił Konfederatów nad rzeką Duck. Bragg uciekł nie broniąc wcale swoich okopów. Rosecranz puścił się wprawdzie za nim, lecz Konfederaci mieli kolej żelazną do swojej dyspozycyi i przebyli góry Cumberland dążąc ku Chattanooga. Rosecranz zatrzymał się więc u podnóżka gór i odpocząwszy cały miesiąc, przeszedł przez góry i znajdował się w dniu 21 sierpnia nad rzeką Tennessee, 100 mil na zachód od Chattanooga.

Na początku września przeprawili się Thomas i Cook przez rzekę Tennessee po moście kolejowym i zajęli wąwozy pomiędzy Lookout Mountain i Valley Head. Bragg dowiedziawszy się o tem, opuścił Chattanooga i udał się do północnej Georgii, gdzie pod Lafayette zajął silne stanowisko, oczekując przybycia wojsk Unii.

Jen. Burnside, komenderował armią nad rzeką Ohio, odebrał od wodza naczelnego rozkaz, aby się połączył z Rosecranzem i wspólnie z nim

przeciw Braggowi operował. Na czele 20,000 ludzi począł w dniu 21 sierpnia 1863 swój pochód przez góry Cumberland. Jen. Buckoner także na czele 20,000 usłyszawszy iż Rosecranz nadchodzi, cofnął się i połączył z Braggiem. Wielka dolina pomiędzy górami Alleghany i Cumberland, od Cleveland aż do Bristol była zajętą przez wojsko północy.

W dniu 19 września spotkały sią armie nieprzyjacielskie nad rzeką Chickamauga. Walka trwała aż do wieczora i szala zwycięztwa zdawała się przechylać na stronę wojsk Unii. Tej samej nocy przybył na pomoc południowcom jen. Longstreet z Virginii i objął naczelne dowództwo. Miał 70,000 ludzi, podczas gdy armia stanów północnych liczyła tylko 55,000. Nazajutrz rozpoczęła się krwawa bitwa, która się zakończyła porażką armii północnej, lecz południowcy utracili więcej ludzi jak strona przeciwna; Rosecranz bowiem utracił 19,000 ludzi, Konfederaci zaś 20,950. Rosecranz cofając się, zabrał nieprzyjacielowi 2003 jeńców, 36 armat, 20 wozów amunicyjnych i 8450 strzelb.

Armia kumberlandzka cofnęła się do Chattanooga i obwarowała się tamże. Do Rosecranza przybył wkrótce jenerał Grant, który został zamianowany naczelnikiem dywizyi nad rzeką Mississippi. Skoro tylko przybył, rozpoczęły się operacye przeciw nieprzyjacielowi, którego mniejsze oddziały tu i owdzie zostały pobite.

Tymczasem starał się Burnside oczyścić z południowców dolinę wschodniego Tennessee i pobił ich w kilku mniejszych i większych potyczkach z których najgłówniejsze zaszły pod Blue Springs i Rogersville. Longstreet wysłany przez Bragga, aby zajął Knoxville i wypędził narodowców ze wschodniego Tennessee, pobił ich pod Lyndon nad rzeką Tennessee i pod Campbells Station, zkąd się Burnside cofnął do Knoxville i tam się okopał. Longstreet podążywszy za nim, musiał ropocząć regularne oblężenie.

Tymczasem pobili jenerałowie Granta: Hooker i Sherman Konfederatów pod Lookout Mountain (23 listopada), zkąd się ci ostatni cofnęli do Missionary Ridge, gdzie w dniu 25 listopada zawrzała na nowo walka straszliwa i krwawa, lecz Konfederaci zostali porażeni i poczęli cofać się. Wojska północne zaś dogoniły ich i pobiły po drugi raz pod Ringgold. Bragg cofnął się nareszcie do Dalton, gdzie się okopał, lecz został odwołany; Jefferson Davis zamianował go naczelnym wodzem Konfederatów, miejsce jego zajął jenerał Johnston.

Po bitwie pod Missionary Ridge, udał się jen. Sherman ku Knoxville, w którem się znajdował jen. Burnside oblężony przez jen. Longstreet, który kilka razy przypuszczał szturm do obozu armii północnej, lecz daremnie. Usłyszawszy że Sherman się przybliża, cofnął się do Virginii, a Sherman wrócił do Chattanooga.

Nad wybrzeżem atlantyckiem w South Carolina, Georgia i Florida wrzała wojna także, lecz w mniejszych rozmiarach. Armia związkowa pod jenerałem Hunter i admirałem Dupont usiłowała zająć Charleston, lecz Hunter został przez Konfederatów pobity pod Secessionsville, poczem oddać musiał dowództwo energiczniejszemu jenerałowi Mitchell. Ten atoli umarł w dniu 30 października, a następca jego Braman odstąpił od zamiaru zajęcia tego miasta. Hunter który znowu objął dowództwo nad armią południa, i otrzymawszy posiłki usiłował po drugi raz wraz z admirałem Dupont zająć Charleston, lecz i tym razem nie zdołał tego uczynić.

Przez niejakiś czas panował spokój w okolicy Charleston. Hunter postradał znów naczelne dowództwo, które objął jen. Gillmore, a miejsce admirała Dupont zajął w dniu 6 lipca admirał Dahlgren.

Gillmore postanowił także zdobyć Charleston. Kilka ataków na fortece otaczające miasto nie udały się i dla tego rozpoczął regularne oblężenie. W toku jego zajął Fort Wagner. Część floty, która uderzyła na Fort Sumter, musiała się cofnąć z wielką stratą, poczem twiedza przez bombardowanie zupełnie została zniszczona. Zostawmy teraz oblegających Charleston i zwróćmy uwagę naszą na wypadki, które się wydarzyły około 1000 mil od tego miejsca na zachodniej stronie rzeki Mississippi.

Przez intrygi nielojalnych obywateli poczęły się znów niepokoje w Missouri i Arkansas. Wprawie wszystkich potyczkach ponosili Konfederaci klęski. W dniu 10 sierpnia 1863 wyruszył jenerał Steele na czele armii 12 tysiącznej z 40 armatami przeciw przyjaciołom Konfederatów, pobił ich kilka razy i przybył w dniu 10 września do Little Rock Ark., które to miasto wraz z warowniami zajął. Konfederaci cofnęli się do Arkadelfia nad rzekę Washita. Blunt zajął tymczasem Fort Smith a pozostawiwszy tam załogę, udał się w towarzystwie 100 tylko ludzi do Kansas, został jednakowoż w pobliżu Baxter Springs napadnięty przez guerilasów Quetwell'a, stracił cały swój konwoj i zdołał się tylko z 12 ludźmi ocalić do Little Fort Blair. W innych potyczkach zostali Konfederaci porażeni.

(Dalszy ciąg nastąpi.)